



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 2 sgr 20.

NAD GŁĘBIAMI.

I.

Zmiennego bytu falo ty, ruchliwa,
Co nas unosisz po wszechświata toni,
Daremnie wzrok nasz za tem wszystkim goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa.

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głęb' niezmiernona, ciemna i straszliwa,
Trudno nam dotrzeć spojrzzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co powierzchni pływa;

Próżno nad głębią schyleni, jej ciemnic
Obraz chwytny — gdyż ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje zdala,
I nasz widnokrąg cały się powleka,
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

El-g.

W kwestyi pracy kobiet.

Sześć lat upływa od pierwszej wystawy pracy kobiet, urządzonej w salach Muzeum przemysłowo-

wo-rękodzielniczego. Sześć lat—to dość znaczny przeciąg czasu, w którym postęp w wielu rodzajach pracy uwydatnić się może. Byłoby też nader pouczającym i ciekawym, gdybyśmy się znów naocznie przekonać mogli, oile uwydatnienie przez prasę wszelkiego rodzaju braków w wystawie z r. 1877 najpierw wpłynęło na wyrobienie w naszym społeczeństwie szerszego pojęcia o ważności pracy niewieściej; a powtóre: oile podniesienie zalet, wystawionych na niej, choć nielicznych pod względem jakościowym, wyrobów przyczyniło się do ich dalszego rozwoju.

Na nieszczęście sprawdzenie to nie tak prędko nastąpi. Choć bowiem Zarząd Muzeum zapowiadał na rok bieżący, czy też przyszły, urządzenie podobnej wystawy; to jednak zmiana lokalu i nabycie przezeń gmachu po-bernardyńskiego na własność, a ztąd konieczność przebudowania go z gruntu, odpowiednio do potrzeb i przeznaczenia Muzeum, przynajmniej na lat parę wykonanie tej myśli opóźni.

Nie idzie jednak za tem, by prasa dlatego, że druga wystawa pracy kobiecej należy do odległej jeszcze przyszłości, miała pomijać milczeniem kwestyę w jakikolwiek sposób z nią związane. Owszem, sądzimy, że podnoszenie ich może być nader skutecznym bodźcem do podjęcia pracy, nie w jednej, zaniedbanej dotąd, jej gałęzi, lub spotęgowania sił, w kierunkach, które już na pierwszej wystawie pozyskały uznanie.

O ile pamiętamy, wystawie z r. 1877 powszechnie stawiano zarzut, iż miała dyletancki charakter. Jakoż produkowała się z wyrobami klas wyższych, dostatnich, których praca, jakkolwiek godna uznania, dawała tylko świadectwo o uzdolnieniu jednostek, ale poważnie nie mogła być brana za wyraz krajowego przemysłu. Nadesłane przez nasze panie okazy koronek na sposób szkocki, brabancki i angielski; wyroby włóczkowe, introligatorskie; wreszcie mnóstwo cacek wytworzonych z szyszek lesnych, pestek, kory i żołądki,

stanowiły jedynie artystyczną jej ozdobę, ale nie mogły być głównym jej celem. Nawet firmy zakładów czysto-przemysłowej natury dawały raczej wytwory elegancyi, niż powszechnego, codziennego użytku. Jedyny wyjątek stanowiły rekwizyty, obuwie i wyroby pończosnicze. Słowem, wystawa grzeszyła tem, czem grzeszą u nas coroczne wystawy inwentarza — przepraszamy za porównanie — ale wistocie, jak na tych widzimy jedynie okazy importowane, dające świadectwo o szeroko rozwiniętych w naszych przedstawicielach gospodarstw rolnych instynktach cudzoziemskich; tak i na owej wystawie pracy kobiecej oglądaliśmy powiększej części rzeczy wzorowane na zbytkowym, obcym przemyśle, przy zupełnym niemal braku okazów, któreby świadczyły, jeżeli nie o rodzimym przemyśle krajowym, to przynajmniej o tem, co, przy rozumnym zużyciu kapitału i sił miejscowych, mogłoby stanowić jego zawizek. Krótko mówiąc, wystawie brakło szerszej podstawy, bo brakło okazów produkcji naszych właściołek, które przecież głównie brać należało w rachubę, jeżeli wystawa miała być istotnym wyrazem pracy niewieściej całego kraju i dać pojęcie, jaki to kapitał wytwarza ona w ogólnej jego produkcji. Braków tych nie mogły zastąpić z dwóch czy trzech okolic nadesłane wyroby płótna i tkanin wełnianych, ani ubiory podlaskich, wołyńskich i podolskich wieśniaczek. Każda bowiem okolica u nas odznacza się jakąś specjalnością, każda na swój sposób użytkowya przyrodzone dary natury.

Zarząd Muzeum, ogłaszając termin i warunki wystawy, zrobił w swem rozumieniu wszystko, coby istotnie w normalnym stanie rzeczy należało uczynić; również prasa, podnosząc znaczenie wystawy i zachęcając duchowieństwo i dwory do pośredniczenia pomiędzy nią a ludem, spełniła także ciężące na niej zadanie. A jednak widocznie pominięto coś, co jej mogło całkiem inny, a właściwy nadać charakter. Prostu nie wiedzano,

czem się która okolica zajmuje, gdzie czego szukać należy. Liczono na poparcie intelligencji, spodziewano się, że ta weźmie cel wystawy do serca i dostarczy z każdej okolicy okazów. Było to jednak złudzenie: raz, iż w rzeczech przemysłu *ogół*, nawet intelligenty, nie poczuwa się do obowiązku ponoszenia choćby drobnych ofiar, jeżeli sam nie jest bezpośrednio interessowany; a powtóre, że choć się nawet poczuwa, to wiele wyrobów produkcji miejscowej uważa za tak nieznaczące i blade, iż nawet nie przypuszcza, by się dla nich miejsce na wystawie znalazło. Ztąd poprzednia wystawa pod tym względem zrobiła *fiasco*. A jednak mogło być inaczej. Należało tylko, by prasa przez swych korespondentów prowincjonalnych zebrała wiadomości o produkcji pracy niewieściej w każdej okolicy, a wtedy, widząc co i gdzie się znajduje, łatwiej można było wystawie powodzenie zapewnić. Wprawdzie wszystko to już do przeszłości należy; jeżeli jednak dotąd nie dość zwracano uwagi w pismach na wyroby kobiece w różnych miejscowościach kraju, to dziś, choćby dla tego, by w przyszłości, urządzając wystawę, nie grano w zakryte karty, należałoby zawczasu o tem pomyśleć.

Na początek też podajemy wiadomość, która może nie będzie pozbawiona interessu—mianowicie o haftach, wyrabianych przez miejscowe kobiety w Skale i w Ojcowie. Wprawdzie hafty należą do przedmiotów zwykłych i na przeszłej wystawie w okazach Zakładu św. Marty były reprezentowane tak świetnie, że prawie wszystkie inne podobne wyroby swą doskonałością zaćmiły. Cóż więc wobec nich mówić o haftach mieszczanek skalskich i włościanek ojcowskich? A jednak obok tych niezrównanych pieścideł mogłyby one zwrócić jeszcze uwagę delikatnością roboty i swym bujnym rysunkiem. Nie są to bowiem nieudolne próby poczynających hafciarek, ale wyroby, świadczące o wysokim uzdolnieniu w tym kierunku tu-tejszych niewiast i rozwiniętem w nich poczuciu piękna, co wszystko mogłyby doprowadzić do wyższej jeszcze doskonałości, gdyby przy zapewnionym szerszym zbycie wyłączenie się tej pracy oddały. Kto wśród nich kunszt ów zaszczylił? Nie wiemy. To pewna, że umiejętność haftowania przechodzi z matek na córki. Co dziwniejsza, że np. w Ojcowie można spotkać nawet sześćdziesięcioletnie kobiety, które pomimo osłabionego wzroku i używania okularów, z zamiłowaniem oddają się hafciarstwu. Do takich należy synowa sławnej Indykowej, zmarłej przed 25 laty, w 99 roku życia, a która w swym domu podejmowała takie znakomitości jak p. Hoffmanową, Szopena, później prof. Jastrzębowski, Antoniego Wągę i innych— oraz Kopeczyńska, matka dorosłych już synów. Nad wszystkie przecież celuje 17-to letnia Katarzyna Jabłońska, która nietylko, że haft zarabia w gipiury, ale nadto umie tworzyć najdelikatniejsze pajęczki. I proszę pomyśleć, że ta dziewczyna spełnia najrozmaitsze domowe i gospodarskie posługi! Nie dość na tem: sama tworzy rysunki, których posiada bardzo nawet obfitą kolekcję. Gdyby takiej wiochnie dano jakies wskazówki, dostarczono bardziej urozmaiconych wzorów i okazów haftu, doprowadzonego już do możliwej doskonałości, kto wie, jakby na tej drodze zaszła daleko?

Obecnie owe hafty mają zastosowanie w jednym tylko kierunku: do ozdoby chustek na głowę, które w toalecie świątecznej ojcowskich i okolicznych niewiast bardzo ważne miejsce zajmują. Chustki te, wielkości dwóch lub więcej łokci kwadratowych, mają wszystkie szlaki wypełnione bujnym haftem, który na rogach do misterstwa dochodzi; zwykle zaś sprzedają się za cenę od trzech do pięciu rubli. Nie dość na tem, Ojcowianki umieją je wiązać i układać w sposób pełen artystycznego smaku. Raz ułożone, wkładają się, jak czepek na głowę i nadługo zachowują nadaną im formę i świeżość. Załujemy też mocno, że nie posiadamy rysunku w ten sposób złożonej chustki: nasze bowiem panie przekonałyby się, do jakiego stopnia podobne ubranie estetyczną całość przedstawia. Jesteśmy nawet pewni, że niejedna z nich zapragnęłaby podobnego na głowę stroiku. Mogłyby on tak zwane *chłopki* do ранnego neglizżu zastąpić, a że nieje-

dney *à la oycovienne* byłoby do twarzy, to o tem nie wąpimy ani na chwilę.

Cokolwiekby, tak powszechne uzdolnienie do haftu wśród ojcowskich i skalskich kobiet, dowodzi, że samorodny ten przemysł głęboko w grunt miejscowy zapuścił swoje korzenie i że potrzeba tylko umiejętnego kierunku, by go podnieść na stanowisko przemysłu krajowej. Galicya, której pewien odłam prasy warszawskiej zarzuca wciąż brak inicjatywy w rzeczach przemysłu, oddawna wstąpiła już na drogę, której wybór dowodzi, że wbrew stawianym jej zarzutom, dokładnie potrzeby kraju rozumie. Oto w różnych miejscowościach pozakładano tam szkoły: koronkarstwa, snycerstwa, koszykarstwa, garncearstwa, stósownie do warunków okolicy i uzdolnienia mieszkańców. Czyżby w Ojcowie nie można szkoły haftu założyć, skoro grunt przygotowany po temu i czy kapitał, poświęcony w tym celu, nie wróciłby się z lichwą za spieniężane później wyroby?

Rzucamy tę myśl ludziom, którym przemysł krajowy leży na sercu, a przedewszystkiem paniom, pojmującym ważność umiejętnie skierowanej pracy niewieściej.

R. Plenkiewicz.

HENRYK SCHMITT

(WSPOMNIENIE)

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dokończenie).

Wyżej wskazane dziejowe *credo* historyka prześwieca we wszystkich jego pracach. Staje on na stanowisku obrońcy przeszłości narodu, wobec zarzutów lekkomyślnych, czynionych tej przeszłości i nie opuszcza tego stanowiska w ciągu wielu lat. Daleki od bezwzględnej obóstwiania wszystkiego, wytrwale wskazuje, że źródłem złego byli królowie i możnowładcy, korzystający z ociemnienia mas szlacheckich. Tak więc rzesza szlachecka otrzymuje zupełne rozgrzeszenie; czyni złe ale jedynie dla tego — jak on wskazuje — że jest ciemną, ociemnieniu zaś winni inni — „winne jezuickie szkoły“, twierdzi historyk; one więc otrzymują wyrok stanowczego potępienia na kartach jego prac dziejowych. „Kierunek jednostronny“, pisze on—jakie te szkoły wychowaniu publicznemu nadały, „przyczynił się poprostu do ogłupienia narodu“. To zbyt dosadne określenie wielokroć się spotyka u Schmitta.

Myśl tę szerzej i specjalniej niż, gdzieindziej, rozwijał Schmitt w nader ciekawej rozprawie, umieszczonej w *Dzienniku Literackim*, w r. 1858, pod tytułem: *Przyczyny zwiędnięcia szlachty polskiej w w. XVIII*“.

Obawiając się znać, aby nie poczytano go za bezwzględnego rzecznika sprawy szlacheckiego gminu, za bezwarunkowego obrońcę prastarych instytucji Rzeczypospolitej, wypowiedział się przekonania o przyczynach ociemnienia narodu, historyk streszcza swe zapatrywania się w następujący sposób: „...Mylą się—pisze on—którzy patrząc, z pewną odrazą a oraz ubolewaniem, na owe nieszczęsne objawy złego, przyczyny tegoż wyłącznie w urządzeniach i ustawach naszych chcą upatrywać, i bez miłosierdzia na nie uderzają, jakgdyby innych przyczyn nie było. Lecz stokrój jeszcze boleśniejszą jest rzeczą, że cisami ludzimi, którym ani zły woli, ani szkodliwych zamiarów zaprzeczać się nie godzi, bez zastanowienia nieprzyjaciołom naszym przyklaskując, wszystko, co tylko przeszłość naszą ohydzi, na jaw wywlekają, a zato z rozmysłem prawie o tem milczą, co jej było zaletą i cechą nawet; gdy tamto wpływem obcym zawdzięczamy“...

Podnosić przeszłość, zalety jej wskazywać, bronić ją od wielorakich napaści, i swoich i obcych, uważał Schmitt za zadanie historyka; broni prze-

to zasad, które były podwaliną instytucji narodowych, niezamierzając, że wpływy czasu i okoliczności mogły spacyć niejedną z owych instytucji wiekowych. Obieralność królów również i *liberum veto* mają w nim obrońcę. Co do pierwszej z tych instytucji, historyk wskazuje, że opierała się ona na zasadzie słusznej, iż do najwyższego dostojenstwa w kraju miał być podniesionym najgodniejszy wśród społeczeństwa; że jednak ani cnoty, ani wady nie są dziedzicznymi, należało się uciec do zasady obieralności, w której nie było nic złego, ani też niedorzecznego, lecz „w zastosowaniu tylko—jak się wyraża historyk—tkwiły złego początki“... Rozumując nad osławionem w naszych dziejach *liberum veto*, dochodzi on do przekonania, że to było tylko logiczne następstwo oddawna przyjętej zasady co do nieograniczonej swobody osobistej każdego obywatela kraju.

„Jeżeli bowiem wyrzeczono zasadę—pisze on—że każdy bez wyjątku obywatel szlacheć część wszechwładztwa Rzeczypospolitej w swej osobie przedstawia, a poseł znów w imieniu tych, którzy w domu pozostali, na sejmie miał się odzywać i nie dopuszczać, coby ich woli było przeciwnem, wypadało przyjąć i konsekwencją tej zasady, t. j.: że w zwyczajnych wypadkach społeczność nie ma prawa uchylać ustawy, na którą poseł, odpowiedzialny swym wyborem, nie pozwala“...

Broniąc każdej instytucji krajowej i na drodze rozumowań wskazując, że wszystkie one miały podstawy i logiczne i słuszne, dochodzi on do przekonania, że nie instytucje powinny być potępiane, lecz pojedyncze jednostki i okoliczności, którym należy winę przypisać, jeżeli instytucje zostały spaczony i wydały złe owoce. Te jednostki złe, zbrodnicze wobec narodu, są to możnowładcy, których Schmitt potępia pospolicie, chroniąc od zarzutu masę szlachty.

Godnem jest zaznaczenia, że Schmitt podnosił kwestyą, dziś idącą w zapomnienie, a mianowicie, że szlachta — ów ulubiony przezeń gmin szlachecki — nie uważała swych praw i przywilejów za takie dobrodziejstwo losu, które nie pociąga za sobą żadnych obowiązków: owszem do obowiązków poczuwała się ona, i to nie małych. Każdy szlachcic za swe swobody i wyłączność praw mu przysługujących musiał odpłacać bezbrzeżnym poświęceniem wszystkiego, co posiadał, począwszy od krwi, życia i spokoju domowego; i to tylekroć, ile razy potrzeba tego wymagała... „Niedopełnienie zaś tej powinności—mówi Schmitt w jednej ze swych prac — ścigało (na polskiego szlachcica) hańbę i bezcechę, straszniejszą nad śmierć samą i nad najcięższą niedolę. Pod ciężą i pocziwością wzywano go od wieków do wszystkiego, a jeżeli na takie wezwanie śmiał się ociągać, była w oczach reszty już sama opieszałość podobna zbrodni, za którą można go było pociągać podczas konfederacji przed sądy i karać nawet“...

Choćby zarzucano Schmittowi niejednokrotnie idealizowanie przeszłości—on jednak sam o sobie i pracach swych rzekł: „Nie myślimy apoteozować Rzeczypospolitej szlacheckiej, ponieważ ta nie zgadza się z dzisiejszemi pojęciami, lecz obowiązkiem naszym podnieść każdą jej dobrą stronę, którą się w dziejach odznaczyła“...

To wyszukiwanie stron dobrych jest jedną z charakterystycznych właściwości historycznych prac Schmitta.

Uwydatnia się ta właściwość wśród innych prac w *Rokoszu Zebrzydowskiego*, które to obszerne studium drukował historyk w r. 1858, w *Dzienniku literackim*, lwowskim, później zaś wydał w oddzielnej książce. Rokosz opracował on z wybitną dążnością wyszukania stron jego dodatnich i od zarzutu warcholstwa uniewinnić się go stara. Opiera się on w tej pracy na *Tece Batowskiego*, z której wyjmuje i uwydatnia czyny rokoszów nader chlubnie o nich świadczące. Kwestyą tę po kilku latach opracował powtórnie, i wydał w *Roczn. Tow. Przyjaciół Nauk* (Poznań, 1865 r.). Rokosz jest tu idealizowany...

Zastępy rokosznicze składały się z różnorodnych żywiołów, z ludzi różnych przekonań religijnych, którzy jednak umieli swe żądania uczynić umiarkowanymi—ubezpieczając siebie, chcieli uszanować i innych prawa. W szeregach Rokoszu Ze-

brzydowskiego widziano prawie większość innowierców—jak to historyk stwierdza faktami, opartymi na dokumentach, a jednak nie znalezione ani jednego ich żądania ubliżającego katolikom,— z wyjątkiem tylko artykułu o jezuitach — ani jednego żądania godzącego na całość praw i godność Kościoła Katolickiego, aczkolwiek duchowieństwo tego Kościoła wręcz przeciwne było rokoszowi. Odsłaniając strony dodatnie owego rokoszu, nie zaniedbał on wskazać, iż domagano się przede wszystkim nietykalności sumienia społeczeństwa, tudzież zachowania zupełnego swobód wschodniej cerkwi, które jej zapewnionemi uroczyscie od wieków były. Rokosz Zebrzydowskiego, według wskazówek naszego historyka, starał się głównie o zabezpieczenie swobód narodu, wobec możliwych zamachów monarchicznych pojęć, które w owym czasie zagrażały wolności i wyjątkowym przywilejom szlachty. Zebrzydowski przeto urasta pod piórem Schmitta na obrońcę swobód narodowych, na reformatora społeczeństwa.

Jakdalece umieli rokoszanie wznieść się na wyżyny umiarkowania, jak podniosłym duchem obywatelskim ożywieni byli, świadczy o tem, wśród innych dowodów, jeden szczególnie nader ważny, przez wszystkich badaczy dziejowych zapomniany, lub może umyślnie zabaczony, który to szczególnie Schmitt wynalazł w „Tece Batowskiego“ i na jasnie dziejową wyprowadził. Jest to wniosek jednego z deputatów komisji rokoszniczych, obradujących nad wnioskami zmian, które powinny być wprowadzonymi. Wniosek ten (księcia Janusza Radziwiłła, ewangelika), domagał się, aby w celu zapobieżenia sporom, głosowali wyłącznie katolicy, na artykuły o *Wierze i Jezuitach*. I rzeczywiście, wedle wniosku stało się.

Takie skrupulatne, pilne wyszukiwanie faktów, któreby mogło zadaniu odpowiadać, ilustrować je je niejako w sposób odpowiedni zapatrywaniem się autora, świadczy o wybornej znajomości całego ogromu zdarzeń dziejowych, wśród których nasz dziejopis kroczy z zupełną świadomością ścieżek historycznego labiryntu.

Nie jeden wyłącznie wiek, nie jedna tylko epoka, były przezeń wystudowane. Również i wśród dziejów XVIII wieku, nie czuje się on niczem skrepowany, i tam umie wynaleźć materiały odpowiedni jego sposobom zapatrywania się na bieg wypadków i ich źródło. Zdolność orientowania się w chaosie zdarzeń wielka, również w XVIII jak i w XVI stuleciu.

W 1866—67 roku opuściły prasę *Dzieje Polski XVIII i XIX wieku*. Obszerna ta czterotomowa praca, zapoznaje nasz czytający ogół z tą właśnie epoką, o której szersze koła publiczności najmniej wiedzą. W pierwszych trzech tomach dał nam autor obraz wypadków od 1733—1795 r.; czwarty zaś tom mówi o historii porozbiorowej; mówi zaś z taką wielką miłością społeczeństwa, tak umie być bezstronnym, stawać na wyżynach owiele górujących nad doktryną tą, lub ową, chwili obecnej, że to szczególnie część dziejów Schmitta możemy zalecić naszym młodszym, uczącym się pokoleniom. Zalecanie tem gorętszem czynimy ze względu, iż ta właśnie część naszej historii najmniej opracowana, jeszcze zaś mniej znana, składa się z epoki, i nader ważnej i długiej, bo prawie stuletni okres zawierającej.

Ta nieświadomość nasza o wypadkach ostatnich lat dziewięćdziesięciu, jest zjawiskiem, chociaż w pewnej mierze dającym się wytlómaczyć, niemniej fenomenalnym, nie spotykanym wśród innych społeczeństw. Brak ten uzupełniać stara się historia dziejów porozbiorowych Schmitta, lubo zakres jej szczerzy i nie obejmuje wypadków zaszłych przed laty dwudziestu i później.

Wysoką zaletą dziejów porozbiorowych Schmitta, jest niezwykła bezstronność sądu połączona z miłością społeczeństwa; chronią one autora od owego rzucania kamieniem na najbliższą przeszłość, które to kamienowanie niedawnej przeszłości, wciąż obecnie spotyka się również wśród posiadających wiedzę dziejową, wśród kapłanów nauki, jak i wśród tłumu, karmionego nieustannie jedną strawą rekryminacji i mniej lub więcej dosadnych obelg, rzucanych na przeszłość naszą dziejową.

Schmitt bronić był zwykły nietylko ideałów swych dziejowych; nie dość, iż stawał w obronie całego pasma przeszłości naszej, ale działalność pojedynczych czynników, wpływających na losy tej przeszłości, posiadała w nim rzecznika pełnego gorliwości.

Dwie prace poświęcił on studjom nad życiem Kollątaja. Pierwsza wyszła w 1860 r., pod tyt.: *Pogląd na żywot i pisma x. Hugona Kollątaja, podkanclerzego koronnego*; druga, o trzynastcie lat później wydana, nosi tytuł: *X. Hugo Kollątaj i jego przesładowcy*, szkic biograficzno-historyczny, wydany 1873 r.

Sam już tytuł tej ostatniej pracy wskazuje, jakim jest jej zadanie. Autor bierze na się obronę wielkiego obywatela — od pocisków niechętnych, które-to pociski przeszły nawet do kart historii. W obronie nie widzimy, by autor wyczerpał wszystkie dowody odpierające zarzuty, któremi obarczono pamięć x. podkanclerzego. Gdzie nie posiada dostatecznych faktów na obronę, wówczas argumentuje pochwałami, co nikogo nie przekonuje, a daje broń do ręki krytyce, często zbyt natarczywie niepokojącej naszego historyka.

Ostatnią jego pracą dziejową większych rozmiarów było: *Panowanie Stanisława Augusta*, wyd. 1870 r.; autor ciemniemi barwy maluje postać tego króla, dla którego nie posiadał on nigdy ani jednego słowa usprawiedliwienia. Chwila wydania tej książki była zarazem chwilą, gdy powołano Schmitta na członka Rady Szkolnej w Galicyi; obywatelska ta praca pochłonięła mu znać czas cały, bo nie widzimy go już odtąd nad większemi dziełami historycznymi. Jeżeli wychodzi co odtąd spod jego pióra, to jedynie maluczkie broszurki, np. rzecz w sprawie ulepszeń szkół ludowych, które były przedmiotem niemałej jego troskliwości.

Zdawało się, że historyk, obarczony pracą w najwyższej magistraturze wychowawczej, galicyjskiej, złożył nazawsze pióro badacza dziejowego. Wydanie jednak historii polskiej, przez M. Bobrzyńskiego, obudza w nim dawną energią bojownika w imię prawdy dziejowej; ujmuje Schmitt poraz ostatni pióro i kreśli krytyczny rozbiór pracy historycznej p. M. Bobrzyńskiego.

Owoce tej szermierki była niewielkich rozmiarów książeczka, nosząca napis: *Rozbiór dzieła pod tytułem Dzieje Polski w zarysie, przez M. Bobrzyńskiego, 1882 r.*

Doktryna bicia czołem przed autokratyzmem, który, wedle pojęć dzisiejszej, podkarpackiej szkoły historycznej, mogły nasze społeczeństwo postawić na szczęścia wyżynach i ochronić od klęsk, oburza Schmitta, hołdującego wolności i wybornie rozumiejącego, że każdy naród posiada swój indywidualizm, swój charakter plemienny, niedający się nagiąć do pewnych celów, bodaj najlepszych, bodaj brzemiennych najświętszą przyszłością. Historią on podawnemu uważał jako mistrzynią życia, a więc daleką od wszelkich stronniczych doktryn, od wszelkich celów ubocznych. Szkoła, która w podkarpackiej naszej dzielnicy rozwinęła się przed jego wzrokiem, była historyczną szkołą, wcale daleką od jego poglądów i zasad. Szkoła ta nowa, zbrojna w niemały zasób wiedzy, w szermierzy specjalnie i metodycznie wykształconych, trudną była do zwalczania, zwłaszcza, iż młodsze pokolenia, obce tradycjom narodowym, chętnie jej posłuch dawały i zaciągały się pod jej sztandary.

Schmitt, chociaż już opuszczający niwę dziejopisarską, chociaż blizki mogiły, właśnie ze względu na owe młode, najmłodsze pokolenia, zatracające instynkta swojskości, postanowił podnieść głos protestu wobec posłuchu, jaki znajdowała historia profesora Bobrzyńskiego. Licznym, częstym wcale nieusprawiedliwionym, zarzutem, czynionym naszej przeszłości, Schmitt daje odprawę stanowczą, może niekiedy za cierpką, ale, zaiste, zasłużoną.

„Niekórzy—woła on—niekórzy—a między nimi i Bobrzyński, udają Jeremiaszów, karzących bardzo surowo naród za jego nieprawości i wzywających go do pokuty; z tą jedynie różnicą, że gdy prorok gromił żyjących, którzy, zamiast się poprawić, ukamienowali go w rozjuszeniu swoim;

oni miotają swe pociski i obelgi na popioły dawno już zmarłych, którzy zatem nie mogą się poprawić, ani się też usprawiedliwić, a za to są więcej wyrozumiali dla żyjących, szczególnie dla ludzi takiego kroju, jak ich ongi w swej żarliwości karał Jeremiasz“.

Wystąpienie przeciw profesorowi Bobrzyńskiemu i całej nowej szkole historycznej, we wspomnianym wyżej rozbiórce, było ostatniem słowem prac piśmienniczych Schmitta.

Szóstego Października, r. b., zgasł Schmitt we Lwowie. Ostatnie lata jego życia, przechodziły tak cicho, spokojnie, wśród zatrudnień Rady Szkolnej, zdala od większej areny życia, chociaż nieustannie w pracy, że można było przypuszczać, iż i zgon znakomitego badacza i miłośnika ziemi rodzinnej, przejdzie niepostrzeżony. Stało się inaczej. Zdrowy instynkt tłumu okazał się wyższym nad doktryny niechętnych; massy ludu sercem odczuły, że bić przestało serce prawdziwego syna ziemi rodzinnej, i oddały mu hołd tak wielki, jak wielkim był niezłomny charakter zmarłego. Tyśiące otoczyły jego trumnę, młodzież zakładów naukowych tłumnie do niej się garnęła; lecz bilet doktorski jej nie zdołał, toga akademicka jej nie okrywała; bo prywatna, królująca w naszej podkarpackiej dzielnicy, usunęła zasłużonego pracownika od godności członka Akademii.

Chociaż wpływowe koła podkarpackiej dzielnicy naszego kraju nie zdołały ocenić i zasług pisarza i cnót obywatela, zgon jego wszakże odbił się bolesnem echem w myśli całego naszego społeczeństwa, które powszechnym hołdem uznania wytworza dla jego prac najsprawniejszą ocenę... głos bowiem sumienia narodu nigdy się nie myli.

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

Do pokoju, prowadzony przez pana Ludwika, wszedł Władysław.

Zobaczył Jadwigę i dla zamaskowania wzruszenia, zwrócił się w tej chwili do Stanisławy.

— Upoważniony przez ojca pani, ośmieliłem się przestąpić próg...

— Ależ to jest tylko pracownia i każdemu interesowanemu wolno wejść.

— Niestety, nie jestem interesowany.

— Możesz pan być zwiędzającym. Przedstawiam panu moję siostrę, jako dyrektorę zakładu, skończoną artystkę — przyszłą wielkość, jednym słowem naszego Wortha.

Jadwiga, blada, starała się uśmiechnąć.

— W tej nowej roli, i tak niespodzianej, pozwól pani złożyć ci hołd. Istotnie jest to niespodzianka. Ciekawy jestem: co o tem myślą mama i ojciec pani? i jeszcze ktoś trzeci... dodał ciszej.

— Tajemnica przed wszystkimi, dopóki przyszedł Worth nie stanie się naprawdę Worthem. Sprowadzamy wzory krojów, książki, żurnale i ryzę bibuły, aby ją pociąć, zanim weźmiemy się do dzieła. Ojciec mój i pan tylko jesteście przypuszczeni do tajemnicy, i biada wam, jeżeli ją zdradzicie.

Stanisława była w wyborzym humorze. Mówiła dużo, śmiała się, prowadząc żywą rozmowę z Władysławem i ojcem. Jadwiga tymczasem mogła przyjąć do siebie, odetchnąć całą pierśią i spojrzeć swobodnie na młodego człowieka.

Nie widziała go parę miesięcy, a po częstem widywaniu porucznika, nie dziw, że wydawał się jej teraz piękniejszym, rysy jego w jej oczach wyszlachećniały, układ nabrał wdzięku i elegancji.

Bolało ją, że wyłącznie był zajęty Stasią—z nią

jedynie rozmawiał. Posmutniała, i nie chcąc się narzucać, zabrała się do szycia.

— Panna Jadwiga chce powetować stracony czas—odezwał się Władysław.

Jadwiga, milcząc, podniosła na niego swe niebieskie oczy—duże, ciemne, a jednak przezroczyście, jakby się niemi skarżyć chciała. Promienie ich ich zelektryzowały młodego człowieka; nie mógł znieść tego wzroku i chcąc się wydobyć z pod tej władzy, dodał z uśmiechem.

— Dawniej czas pani ciężył: rada byłaś odstąpić go proszącemu. Dziś jest inaczej: nie chcesz tracić niepotrzebnie nawet jednej chwili.

Jadwiga znów podniosła na niego swe duże niebieskie oczy.

— Dawniej—powtórzyła. — Od tego dawniej, dużo się zmieniło. Nauczyłam się cenić czas, tyle co pieniąż. Jest to dobry wpływ mej siostry. Wiele się rzeczy od niej nauczyłam.

— Zaciekawiasz mnie pani...

— Odkryjesz je pan sam, jeżeli one są. Nie mogę o nich mówić, ze względu na samą siebie.

— I ze względu na mnie—przerwała Stasia. Rumieniłam się—zaprzeczała—musiałabym się odwzajemniać...

Nakoniec słyszałbyś pan wykrzykniki wzajemnej admiracji. Przypatruj się nam pan, śledź nas, odgaduj. Badanie charakterów zawsze jest ciekawe. Może się panu kiedyś przydać.

— Niestety, autorem nie jestem i wolę przeczuwać—odparł Władysław wesoło.

— Ale możesz być dziennikarzem i powinienes nawet nim być, gdy trzeba będzie bronić naszych zasad, staczać walki z naszymi nieprzyjaciołmi politycznymi, popierać naszych ludzi. — Młoda dziewczyna mówiła z ogniem.

— Mogę być tylko stronnikiem pani; na więcej mnie nie stać—odpowiedział z uśmiechem Władysław.

— Nie pojmuję młodego człowieka, który nie pragnie sławy, nie marzy o wielkości, znaczeniu, wpływie.

— Widocznie brak mi sił, brak odpowiednich zdolności. Wielkość powiatowa już zdolna mnie olśnić.

Jadwiga czarownym uśmiechem i ledwo dostrzegalnym pochylem głowy—poparła Władysława.

— Patrz pani, siostra jej podziela moje zdanie.

— Prawda to, Jadziu?

— Przysnaję się, że wszystkie wielkości przestraszają mnie. Nie mam pojęcia, jakbym mogła żyć pod jednym dachem z wielkością.

Czuła, że się niezręcznie wyraziła. Rumieńce wystąpiły jej na twarz—pochwyciła robotę i zaczęła gorączkowo szyć.

Stanisława spojrzała badawczo na Jadzię; później przeniosła wzrok na Władysława.

Młody człowiek nie mógł znieść tego spojrzenia, zmieszal się, niewiedząc: dlaczego—i oczy spuścił.

Nastąpiła cisza, że słyhać było bicie serca i szelést przesuwałającej się nitki po różowym perkalu.

— A więc zostaje sama—rzekła Amerykanka.

— Ja cię nie opuszczę—zawołała Jadwiga.

— Jestem zdecydowany powtórzyć to samo, co powiedziała p. Jadwiga—dodał Władysław.

— Dziwna harmonia poglądów.

— Jako najbliższych sąsiadów—odparł młodzieniec.

— Sąsiadów—pomyślała—a jednak nie mówiono o tobie. Stryj mój traktował cię jak przyjemnego chłopca, zdolnego czasem go rozerwać, a jego żona wielką ci łaskę robiła, wpuszczając do swego domu. Czy ty o tem wiesz? czy się tego domyślasz?...

W tej chwili służący wywołał Stanisławę. Młodzi ludzie zostali sami. Jadwiga szyła, nie odrywając oczu; Władysław wpatrywał się w nią z pewnym zajęciem i ciekawością.

— Tyle wdzięku, piękności, słodyczy!—i to wszystko dla jednego brysa o kwadratowej głowie i grubym śmiechu—dlatego, że...

— Tak już dawno nie widzieliśmy się, p. Władysławie—pierwsza zaczęła Jadwiga.

— Zaledwo trzy miesiące.

— Więcej one znaczą niż trzy lata w zwykłym biegu wypadków.

— Tak wielkie zaszły zmiany?

— Mam siostrę, o której istnieniu zaledwie wiedziałam. Wprawdzie jestem o połowę uboższą—dodała, rumieniąc się.—Nie żałuję jednak tej straty.

— Mając nadzieję powetować.

— Jakim sposobem?

— Wychodzisz pani bogato za męż.

— Wcale nie wychodzę—odpowiedziała z uśmiechem.

— Jak-to—porucznik?...

— Nie bywa.

— Zupełnie?

— Najzupełniej.

— To niepodobna.

— A jednak tak jest.

— I uśmiechasz się pani?

— Ze zwycięstwa.

— Nad porucznikiem?

— Nad samą sobą, w czem pomogła mi dzielnie Stasia. I oto masz pan jeden więcej dowód mej radości z odzyskania siostry. Uratowała mnie!

Młodzieniec zamilkł, patrząc ciekawie na tryumfująco uśmiechniętą dziewczynę.

— Czy to pana tak dziwi?—spytała po długiej chwili milczenia.

— Przyznasz pani, że jest to przedmiot godny podziwu. Tyle pracy i starań zmarnować...

— Sądzisz pan, zem pracowała dla zdobycia serca porucznika?

— Widziałem—odpowiedział.

Dziewczynie przed oczami stanęła wycieczka do Zabelcza i spotkanie się z Władysławem. Zarumieniła się mocno, rzęsami zasłoniła oczy; na twarzy malował się ból i żal.

Musiała być wtedy piękną, gdyż Władysław wpatrywał się w nią z pewną rozkoszą. Od tej chwili była w jego oczach uratowaną. Dla kogo? nie śmiał sobie postawić tego pytania.

— Może praca moja miała inny cel—szepnęła po chwili namysłu.

— Zawsze do jednego prowadziła rezultatu.

— A wydała odmienne owoce—odpowiedziała odważnie.

Władysław z kolei zamyslił się.

— Może Stanisława przyrzekła ją swatać z jednym z amerykańskich Nabobów?—Spojrzał na Jadwię.

Jej uśmiech, smutny, dobry i łagodny, oczy niebieskie, zamysłone, i spokój, który był w niej stanowczo zaprzeczal tym przypuszczeniem.

— A jednak—powtarzał w myśli—temisamemi oczami patrzała na granatową twarz porucznika, w jego małe zielone oczy.

Jadwiga wróciła do pracy, oddając się jej z gorączkowym pośpiechem.

— Bawi to panią?—zapytał po długiej chwili milczenia.

— Otyłe, oile drugim sprawia rozkosz.

— Przed trzema miesiącami nie myślałaś pani o tem...

— Dlatego mówiłam panu o wielkich zmianach.

Przypominasz pan sobie moje skargi na brak zajęcia.... Prosiłaś mnie, aby ci sprzedała troszkę czasu; dziś ja-bym go z chęcią nabyła dla siebie.

Przed trzema miesiącami opanowywała mnie nuda, byłam sama, na drogach do czynu spotykałam zapory... Patrz pan: trzy miesiące—i tyle się zmieniło!

— Nie mogę się z tą zmianą oswoić.

— Nie możesz się pan oswoić z moim odrodzeniem?

— Zbyt nagle.

— Czasami do radykalnej zmiany wystarczy jedna chwila.

— A tą chwilą?

— Był gruby śmiech porucznika.

— Żartujesz pani.

— W ważnych kwestjach nie mam zwyczaju żartować—odparła poważnie.

Władysław, zdumiony, wpatrywał się w piękną dziewczynę, jakby chciał czytać w jej sercu, lub odgadywać myśli.

Podczas tej niemej rozmowy weszła Stanisława.

— Cisza?—Panie Władysławie! nie chcesz pan być znakomitością nawet w powiecie: bądź pan nią przynajmniej w salonie.

— Jestem w pracowni. Nie wolno przeszkadzać: panna Jadwiga pracuje z namietnością.

— Chodźmy więc do salonu; będziesz pan na swoim gruncie, a Jadzia zmuszoną do odpoczynku. Fortepian czeka, milczy i pewno się gniewa.

Poszli do salonu.

Fortepian skarzył się, śpiewał, rozpaczał, tęsknił i marzył Szopenowskim Koncertem. Młodzieniec był rozentuzymowany do szopenowskiej muzyki.

Słuchały go: zamysłona, zamknięta w sobie, podobna do posągu Jadwiga—i wzruszona, z falującą piersią, świecącymi oczami, Stanisława.

Zaczęły się częste wizyty Władysława do Żurawna Górnego. Czy wiedziony przecuciem, czy fatalizmem, zawsze prawie zostawał Jadwigę cichą, zamysłoną, pracowitą.

Łatwo się oswajamy ze zmianami, których pragniemy, a wtedy i łatwo zapominamy przeszłości, jeżeli serce każe nam o niej zapomnieć, a myśli uparcie odpychają przeszłości obrazy.

Młodzieniec zapomniał o kwadratowej twarzy porucznika, o spojrzeniu niebieskich oczu, które miały podbić siwego cerbera, a czarowny uśmiech zniewolić; zapomniał o wszystkim, nawet o smutku Stasi, o świecących jej oczach, tajemniczych westchnieniach, częstym zamysłaniu się i częstszym jeszcze patrzeniu w przestrzeń oczami duszy.

Wywiązała się cicha walka serc. Milczeli, lecz mówiły za nich świecącym ogniem oczu, spojrzenia, smutne uśmiechy i tajemnicze, ledwo dosłyszalne westchnienia.

Poważna i cicha Jadwiga bardziej jeszcze spoważniała. Często wpadała w zamyslenie i wtedy w białą swą rękę przesuwała po czole, jakgdyby chciała rozpędzić tłoczące się myśli, lub je zatrzymać. Władysław stracił na swobodzie, wesołość zamarała w nim, był roztargnionym. Chcąc się ratować, zasiadał do fortepianu, aby harmonią wielkich mistrzów, łagodzić niepokoje serca.

Sukienki się szyły, — poubierana w nie dziatwa promieniała radością. Lecz sukienki—to dopiero strona zewnętrzna: należało pomyśleć o bezpośredniej cywilizacji—o ochronach, wpływie na szkołę i umoralnieniu młodego pokolenia.

Wywiązywały się w tym kierunku długie i energiczne rozprawy, z których okazało się, że pole do pracy w gminie i parafii jest tak wielkie, iż trudno będzie mu podołać—jednej osobie i skromnym kapitałom.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRÓL JAN III-ci SOBIESKI

I JEGO RODZINA

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dokończenie).

Wraz z trumną królewicza Jakóba, zstępująca do podziemi kościoła w Żółkwi, w r. 1737, zniknęło imię Sobieskich z powierzchni ziemi. Dwaj młodzi bracia nie przeżyli go.

Królewicz Alexander, z twarzy i wspomnień najbardziej przypominający ojca, najsympatyczniejszą był postacią wśród rodziny króla Jana. Przyjemną powierzchownością, układem, zamiłowaniem rzeczy, spraw i ubioru krajowego ujmował on serca wszystkich. Ojciec go nazywał „Minionikiem“, wszyscy zaś goszczący dłużej i krócej na dworze Jana III mienili go również dzieckiem miluchnem, młodzieniaszkiem nad wiek rozwiniętym, śmiałym pacholęciem, lubiącym rzeczy swojskie. Takim był głos cudzoziemców; swoi również im wtórowali. Dziwnem się wielu wydawało, iż wobec ciągłego brzmienia mowy francuskiej na dworze królewskim — w Warszawie, Willanowie, Żółkwi, słowem: wszędzie, gdzie gościł dwór Maryi Kazimierzy — królewicz Alexander nie mówił biegle po francuzku, nieznośnym mu się wydawał strój cudzoziemski i wstrętną ta ciżba Francuzów, gwarna a pewna siebie, co zapełniała każdą z licznych rezydencji króla Jana.

Rojono nieraz, i rojono nie bez podstawy, podczas życia ojca, iż Alexander po nim tron obejmie: swojskim się on wydawał wielce dla własnych ziomków, sam blask błękitnych, pełnych słodyczy oczu skłaniał serca ich ku niemu; był to typ iście polski, podczas, gdy starszy królewicz Jakób, przypominał, jak wiemy, francuzką krew matki; nie widziano, tylko w charakterze Alexandra polskiej hojności. Skrętnym on i grosz lubiącem od wczesnej młodości wydawał się bliższemu swemu otoczeniu, i rzeczywiście zostawił po swem niedługim życiu (a żył od 1677 do 1714) dość pokazną sumę swych kapitałów. Składały się one z dwóch milionów talarów; całe bowiem mienie swe Alexander ulokował w kapitałach i, mieszkając później wciąż zagranicą, często był w potrzebie grosza.

Przy objęciu tronu przez Leszczyńskiego spodziewał się Królewicz Alexander otrzymania korony, nawet Leszczyński dał mu być zapewnienie na piśmie, że korona po nim przejdzie do królewicza Alexandra, bo ją bierze tylko na pewien czas. Nadzieje jednak ich obu zawiodły; Alexander i Leszczyński musieli szukać schronienia poza granicami kraju. August II, po półtawskim pogromie, usadowiwszy się ponownie, i to na stałe, na tronie polskim, zbyt podejrzliwie patrzył na każdego z rodziny Sobieskich, by Alexander, najbardziej wśród całej swej rodziny popularny, zdołał spokojnie przebywać w kraju; Żółkiew nawet była, jako ówczesna rezydencja królewicza Konstantego, pod wojskową inspekcją wojsk saskich Alexander więc opuścił kraj i przeniósł się do Rzymu, gdzie życia dokonał w sile wieku.

* * *

Trzeci z kolei królewicz Konstanty, ur. r. 1680 „Filonkiem“ przez ojca nazywany, zasłynął swą miłością ku Wessłównie, miłością pełną romantycznych przygód, i wreszcie niestatecznością wówczas, gdy cel jego marzeń został urzeczywistniony, gdy stał się mężem.

W Willanowskim pałacu, w ostatnich latach życia króla Jana, wychowywało się dwoje pacholąt — „Filonik“, t. j. królewicz Konstanty, i Marya Józefa Wessłówna, starościanka rożańska, sierota po owej Wessłowej, niemkini, która była ochmistrzynią przy jedynaczce króla Jana i królownie Teresie Kunegundzie, i wczesnie odumarała swą młodziutką córeczkę. Pacholęta, razem wrastając, razem igrając, na łąkach łachy wiślanej pod Willanowem, pokochali się wreszcie. Nie wiedzieli oboje, jak się ta miłość i kiedy rozpoczęła, w czyjmem sercu najpierw powstała, do którego zaś tylko przeszła echem współczucia — nie wiedzieli tego i o tę analizę uczucia wcale siebie nie pytali; o to im nie szło. Miłość ich, niby kwiat polny, niespodzianie a cudnie urosła, rozwinęła się, darząc różami szczęścia, ale niemniej i tysiącem kolców. Później, znacznie później, kolce zaczęły się ukazywać i dawać się uczuć boleśnie. Wprawdzie na jakiś czas i w dzieciństwie oni rozstawali się, ale to była chwilkowa tylko rozłąka. On, wraz z bratem, nieco starszym, „Minionikiem“ (Alexanderem), kształcił się pod królewskim dachem, rodzicowym w Willanowie, lub na zamku warszawskim; ona, po zgonie swej matki, wychowywała się

u Sakramentek w Warszawie, co wszakże nie przeszkadzało, iż często, przynajmniej raz na tydzień, widywali się z sobą. Dziecinna ta, nieświadoma swego istnienia miłość, przechodząc różne stadya rozwoju, wreszcie doszła do zupełnego rozkwitu. Zanim wiek XVII dobiegł do końca, „Filonik“ stał się już prawdziwym Filonem — kochał i był kochanym: królewicz kończył dziewiętnastą, Wessłówna zaś, starościanka rożańska, zaczynała piętnastą wiosnę życia.

Zgon króla Jana zmienił znacznie losy całej rodziny Sobieskich. Przypuszczano, że będzie ona „dynastyą“, jak szwedzka rodzina Wazów wytwarzała takową u nas w ciągu lat kilkudziesięciu; przypuszczano, iż jeden z królewiczów tron obejmie — prawdopodobnie ów „Minionek“, „perła droga, pociecha ojca, miłość wszystkich“ — jak go nazywano¹⁾ — a inni pozostaną u stopni tronu, na podniosłych dostojenstwach. Inaczej się stało. Zawisć Jakóba ku bratu Alexandrowi, którą jeszcze za życia ojca okazywał, z wielkim smutkiem starzejącego się króla, zawisł i pycha matki, prywatnie wielu, — splątały nić nadziei...

Korona Jagiellonów nie przeszła do żadnego z synów bohatera Odsieczy Wiedeńskiej. Wątpliwej moralnej wartości Niemiec, Elektor Saski, włożył ją na swe skronie — dzieci zaś „króla Sobka“, ulubienca szlacheckiej rzeszy, poszły na tułaczkę.

Zamek Olawski, rezydencja królewicza Jakóba, stał się odtąd głównym przytuliskiem tułaczek rodziny Sobieskich. Tam więc znowu spotykają się królewicz Konstanty i Marya Józefa Wessłówna, tam postanawiają oni pobrać się, lecz rzecz się dziwnie wikła, utrudnia; całe tłumy przeszkód powstają: wiek młody królewicza, prawie dziecięce lata starościanki, niedoświadczenie obojga i inne, liczne przeszkody; a nad tem wszystkim górowała groźna wola królewicza Jakóba, który grał rolę opiekuna rodziny, wymagał posłuchu zupełnego i nigdy nie mógłby się zgodzić na związek brata z ziemianką miernego mienia, gdyż on dlań roił bogdanek z jednego z królewskich, lub przynajmniej umitrowanych, rodów.

Królewicz Jakób tak wysoko się nosił, że nie dość, iż nie chciał słyszeć o owym związku, ale nadmiar swej bardziej niż monarszej, pychy nie uznawał nawet za rzecz potrzebną wiedzieć o istnieniu Wessłówny na swym dworze: udawał, że nie o niej nie wie, aczkolwiek dziewczeczka zostawała pod opieką królewiczowej, żony Jakóba.

Ujęcie królewiczów: Jakóba i Konstantego, przez agentów Augusta II i osadzenie ich w twierdzy zdawało się rozwiewać wszystkie miłosne plany zakochanych. Czas mógł stanowczo wpłynąć na zmianę ich uczuć, a jednak wcale nie wpłynął: Filonik i po wyjściu z Königsteińskiego zamku pozostał wierny swym pacholęcym ideałom; dopytuje się pilnie o stałość uczuć starościanki i nie waha się rzucić w wir miłosnych przygód, w wir wypadków niezwykłych, by się połączyć na wieki ze swą ukochaną. Przygody zakochanego królewicza były, zaiste, pełne romantycznego charakteru i niemało uroku rzuciły w oczach bogdanki na jego postać.

Starościanka kochała go statecznie; lecz wzmożła się bardziej jeszcze ta miłość, gdy królewicz, przebrany za kwestarza, w mniszym habicie, stanął u jej progu, gdy znowu rzucił na szalę niepewnych losów swą wolność, a wreszcie i życie. Starościanka bawiła wtedy w Polsce, u brata który był starostą ostrowskim, mieszkał w Nasielsku, dokąd z niemałym niebezpieczeństwem wśród kup zbrojnych i stronnictw zwaśnionych, przedzierał się królewicz z Gdańska, gdzie jakiś czas przebywał. Podróż, wśród owocnych okoliczności mienić się nie mogła, ani łatwą, ani też bezpieczną; tembardziej zaś była trudną i niebezpieczną dla członka rodziny Sobieskich, z których każdy podejrzanym mógł być o rozszczeniu do Tronu Polskiego. Takie niebezpieczeństwa powiększały jeszcze zapał królewicza. W Nasielsku długo bawić nie podobna było: a więc królewicz

spieszył z powrotem do Gdańska, gdzie ślub odbyć się miał. Ślub a również i te niezwykle wyprawy romantyczne królewicza poza zakresem wszelkiej wiadomości głowy rodziny Sobieskich, królewicza Jakóba, urzeczywistniały się. Nie wiadano, a raczej nie chciano wiedzieć, na Zamku Olawskim, że się ożenił tajemnie królewicz Konstanty ze starościanką rożańską. Monarchiczna powaga, jaką lubił się otaczać Jakób, sprawiała, że udawał, iż niby nie wie o stałości brata, o jego ciągłych usiłowaniach zaślubienia swej bogdanki. Niewiedzieć nie mógł, gdyż jego żona, księżna Jadwiga Nejburska, sama niezbyt szczęśliwa w swem pożyciu z Jakóbem, ciągle listami obsyłała Wessłównę, proponując jej, kosztem różnych ofiar, zaniechanie projektu małżeństwa. Propozycje wszystkie zostały odrzucone; Wessłówna stała się żoną Konstantego Sobieskiego, lecz związek ten nie przyniósł tak wielkiego szczęścia, jakiego się spodziewano.

Królewiczowa całe swe życie była nieszczęśliwą. Intrygi obcych, którzy starali się siać wśród nich nieufność — głównymi zaś działaczami na tem polu byli Marya Kazimiera i Jakób — wysnuły całą sieć zakłaman, na które rzucamy zasłonę niepamięci...

Ostatnie lata życia małżonkowie ci mieszkali z sobą przykładnie, w starym rodowym gnieździe Sobieskich, w Żółkwi, tworząc dla okolicy ognisko towarzyskie, pełne powagi, rozczając dokola wiele dobrego, budząc dawne sympaty szlachty ku Sobieskim. Była nawet chwila, że spodziewano się utrwalenia tej gałęzi rodu bohatera Odsieczy Wiedeńskiej. Los jednak brzemieniem klęsk ciążył nad tym rodem; dzieci jego, przychodząc na świat, umierały wnet. W r. 1726 królewicz Konstanty żyć przestał; żona przeżyła go o wiele, hojną dłonią wspierając ubóstwo i zdobywając dla siebie dobrze zasłużoną nazwę „świętej pani“...

Udziałem tej „świętej pani“, było przedłużenie tradycyi o rodzie Sobieskich na lat prawie trzydzieści po zgonie Jakóba, ostatniego z rodziny króla Jana, śmierć bowiem zabrała ją ze świata dopiero w r. 1762. Umarła ona w zakonnej szacie Panien Sakramentek, w Warszawie, w których klasztorze ostatnie lata życia spędziła.

Zwłoki tej „świętej pani“ — jak ją lud ubogi z okolic Żółkwi nazywał — złożono obok trumny córki Jakóba Sobieskiego, księżnej de Bouillon, w podziemiach klasztoru Sakramentek, w murach tejże Warszawy, która jest do dziś w posiadaniu serca króla Jana, co spoczęło w kościele niegdys OO. Kapucynów przy ulicy Miodowej.

Losy córki Jana III nie były szczęśliwszemi od losu synów. Ulubiona jego jedynaczka Teresa-Kunegunda „purpureńką“ przezeń pospolicie nazywana — wyszedłszy za męża, za Elektora Bawarskiego, niezbyt dobrej używała doli. Te przyioty elektora, które w oczach króla były tytułem do zasługi, jak np. zuchowate jeżdżenie „konno oklep“ — wedle świadectwa jednego z listów króla, pisanych zpod Wiednia, gdzie Sobieski poznał przyszłego zięcia — stały się źródłem utrapień dla królowej. Zuchowatość wprowadziła ją z czasem na drogę ciągłych łowów, biesiad łowieckich, dość hałaśliwych i dość szorstkich. Huk trąb myśliwskich dla owego łowca był stokroć miłszą harmonią nad głos żony dość zaniedbywanej, osamotnionej, tęskniacej do dźwięków mowy rodzinnej. Pamięć rodzicowego Willanowa tak głęboko w jej sercu utkwiała, iż tejsze struktury mniej więcej pałac letni wzniesiono około Monachium, gdzie i obecnie nieco pamiątek po bohaterze Odsieczy Wiedeńskiej można odnaleźć.

W połowie XVIII stulecia, już nigdzie nie widziano ani jednego męskiego potomka po mieczu Jana III; po kądzieli tylko można było dopatrzeć i doliczyć się, tu i owdzie, na tronach, lub na ich stopniach, cudzoziemców, którzy po matkach swych wzięli w spadku nieco krwi naszego bohatera króla. Lecz w miarę jak gaśli z dziwną szybkością ludzie, co nosili jego nazwisko, odżywała wśród naszego narodu tradycya o bohaterkim ukoronowanym wodzu. Stawał się on postacią ulubioną legend społeczeństwa, które przy zachodzącym słońcu swego samodzielnego istnienia, podczas doby klęsk, lubiło wpatrywać

1) Są to wyrazy wzięte z listu pisanego do bisk. J. Chryz. Załuskiego, przez podskarbi. Marka Mateczyńskiego. — Porów. Epistolae hist. famil. — Brunsberga 1709—1711.

się w ów wspaniały cień ostatniego króla, co pan-
cerz na bój wdziawał i był bez zaprzeczenia osta-
tnim królem-rycerzem.

PIOSENKA JESIENNA

(z Karola Steilera).

Burzliwe serce! bij powoli...
Czyż nie znasz sztuki zapomnienia?
Patrz, jak świat cały, zimie kwoli,
W milczeniu szaty swoje zmienia.

Ptaszeta piosenek już nie dzwonią,
Słońca ognista słabnie siła;
Co było żarem, blaskiem, wonią,
Wie, że godzina mu wybiła.

Rżyska już tylko są na roli,
Suchy liść niosą wiatrów tchnienia:
Serce! powoli bij... powoli...
Mądrość jest w sztuce zapomnienia.

JAROSŁAW VRCHLICKI

I JEGO NAJNOWSZY ZBIOREK POEZJI

„CO ŻYCIE DAŁO“

skreślił

Zenon Przesmycki.

(Dalszy ciąg).

Parę równie patryotycznych ustępów znajdujemy jeszcze w *Motywach Szumawskich*, które prócz tego warte są zaznaczenia z innego jeszcze względu: tutaj bowiem, widocznie pod wrażeniem cudnych górskich i lesistych okolic Szumawy, poeta użył jej krajobrazów za tło do przeprowadzenia pewnych myśli. Przytoczę tu krótki wierszyk, w którym Vrchlicki, opisując burzliwy potok górski, pięknie łączy ten opis z myślą o zmiennych kolejach życia ludzkiego.

Jak skrzydło anioła mgła leci przedemną...
Co ona tam kryje oponą swą ciemną?
Teraz rozrywa się, dzieli.

Gdzie słońce roziskrzyła topazy perlące,
Tam cudne ujrzałem błonie, jaśniejące
W złocistej światła topieli.

Znów idę w mgle dalej i myśl ma z tęsknotą
Wspomina tę krótką chwilkę szczęścia złota,
Te sny, ułudy młodości!

Jak mroczna wichura przeszłość się przewala,
A w głębi potoku wzdęta szumi fala—
Grzmi, lecąc, pieni się, złości...

Sądzę, że ten krótki rozbiór pierwszej części zbioru *Co życie dało* pozwolił już poznać czytelnikom istotną genialność Vrchlickiego, przynajmniej ze strony — że tak powiem — malarskiej, to jest, z jego łatwości nadawania każdemu obrazowi potężnego, odrębnego, a zawsze właściwego mu kolorytu. Przejdziemy teraz do działu drugiego, zatytułowanego: *Nieco miłości*.

Jak sam tytuł wskazuje, dział ten zawiera poezje wyłącznie treści erotycznej, wyrażającej jednak uczucia poety dla ukochanej jego małżonki. Wszystkie ustępy tego oddziału odkrywają nam najgłębsze tajniki serca poety i rysują pię-

kny, idealny obraz jego dzielnej towarzyski na ciężkiej drodze życia, która — nie krępowała jego jasnych skrzydeł, lecz przeciwnie, była dlań

„Prawdy, piękna i dobra zakłębem

I przyjacielem i żoną“.

W precudnym wierszu: *Tak pójdziem razem* umieszczonym w Nr 41 „Bluszczu“, poeta wyraził to, nad czem zapewne często i długo myślał: że żona jego jest rzeczywiście połową jego istoty; że gdyby jej zabrakło, w duszy jego powstałaby niezapełniona niczem próżnia; że z nią razem stokroć lżej mu przebyć tę ciężką drogę życia; że ona jest jego skrzydłem, jego natchnieniem, jego życiem, jego... wszystkim.

Nic dziwnego, że kobieta, której duch tak harmonizował z duchem poety, działał nań tak dodatnio, tak ożywezo, tak uzupełniał go niejako — musiała obudzić w sercu jego, bogato od natury obdarzonym, najszlachetniejsze drzemiące w niem uczucia i wydać mu się jakimś czarodziejskim kwiatem:

Co rośnie tylko raz w sto lat,
Jakiego niema cały świat.

Duch poety zdawna przeczuwał taki ideał kobiety; „w marzeniu sennem setki lat obiegał cały boży świat, by najpiękniejszy znaleźć kwiat“. I znalazł wreszcie, znalazł kwiat, który przeszedł wszelkie jego oczekiwania:

Ach! bo na sercu kwiat ten mieć,
To znaczy, wiecznie szczęsnym być,
Wieczyście kochać, wiecznie żyć!

To też zbudziły się w nim naraz wszystkie najszlachetniejsze uczucia serca: miłość, szacunek, przyjaźń, namietność — wszystko to oddał swej wyobraźni. Odkąd usta jego dotknęły „jej świętej głowy“, spokojnie jął patrzeć w straszny, ponury odmet, gdzie wre życie świata; przeszłość stała się dlań jakąś dawną, zamgloną baśnią, a przyszłość piękna, jasna wesoło nań skinęła. Odtąd miłość jej stała się dlań czemś tak koniecznym do życia, że woła: „Z miłością twoją wszystkim do mi wzięto i dano“. Ta miłość mu wystarcza. Z ręką na jej czole, z głową na jej łonie, spogląda śmiało w oblicze śmierci, w otchłań grobu. Mając tę miłość, niczego się nie lęka. „Opowiedz! — woła — co los mi zabrać może?“ — Ta miłość daje mu: spokój, natchnienie, myśl jasną — wszystko. To też pragnienie tej miłości na wieki nazawsze, w tem życiu i po śmierci nawet, wylało się, jak potok ławy w wierszu: *Nazawsze*, który tu przytoczę.

Twoim na zawsze! Spojrzenie tylko jedyne,—
Bo nie wierzę tu słowu,
By mogło paść w twą duszę, jak miesiąc, w głębinę—
Swą miłość—daj mi znowu!

Z każdym dniem mi ją dawaj, i z każdą godziną,
I z każdym serca biciem;
Daj w domu, daj w obczyźnie, daj nawet, gdy prze-
[miną
Te chwile, co zwiem życiem!

Daj mi ją w ogniu oka i w tklivem spojrzeniu,
W śmiechu, bólu i skrusze,
I w tem ufnem, serdecznem ręki uściśnieniu,
Ktorem godzą się dusze.

Daj mi ją, gdy, za twoją wciąż biegnąc koleją,
Płonę dla cię miłością,
Łkam ku tobie wieczności i grobów nadzieją,
Żywotem i nicością!

Ma dusza, jak lilia swoje wonie w kielichu,
Dzięk bez końca ci niesie...

O, niechaj twoja miłość tak w nią spłynie pocichu,
Jak rosa w dzwonek, w lesie.

Niechaj wiara, natchnieniem w cudnem wniebo-
[wzięciu,

Niech pięknem w pierś mą spływa,
Jak nad biedną kolebką, gdy do snu dziecięciu
Anioł-Stróż jego śpiewa;

Niech rośnie tam, buja, w kwiat się cudny prze-
[twarza,

Jak róża w blasku słońca,
I przez usta przyrody niech wciąż ci powtarza:
O daj mi ją bez końca!

Erotyka to zupełnie nowego rodzaju. Dotąd poeci wdychali zawsze do ideałów; w życiu praktycznym, po ślubie, ideał ten powszedniał jakoś; zostawały wprawdzie szacunek i przyjaźń, lecz miłość tak gorąca, tak absorbująca całe serce, całe jestestwo, jak tu widzimy, znikła bezpowrotnie. We Vrchlickim szczęśliwa miłość małżeńska pierwszego znalazła piewę. Dowodziłoby to, że wrażenia u Vrchlickiego nie są tak ulotne i przemijające, jak u większej części poetów, że przymuje on wszystko głębiej do serca i dłużej w niem przechowuje, albo też, że szczęśliwiej trafił w wyborze małżonki, niż wszyscy dotąd poeci, którzy po większej części dostawali towarzyski życia zupełnie niezgodne z ich usposobieniem, będące jakby zimną wodą, wylewającą się co dzień, co chwila, na poetyczne zapala mężów. Najprawdopodobniej zaś działa tutaj i jedno i drugie — i szczęśliwy ten zbieg okoliczności dał światu takie perły uczucia, wyrwane z najtajniejszych skrytek serca poety.

Szkice pomniejszych, stanowiące dział trzeci rozbieranego zbioru poezji, przedstawiają różnobarwny wieniec samoistnych, niczem niezwiązanych z sobą, obrazków. Rozmaitość tu ogromna: obok utworów oryginalnych, stanowiących wyłączną i niezaprzeczoną własność ducha Vrchlickiego, znajdujemy tu pewne reminiscencje z Shakespaera, *Ofelia*; rodzaj próbki z Byrona, *Ballada z roku tysiąc siedmset któregoś*; kawałki przypominające rodzaj Wiktora Hugo, *Z natury*, *Vox populi*, *Z ulicy*; a wreszcie, pysznie uchwycone i znakomicie oddane legendy średniowieczne *Giotto i dusza*, oraz podania ludowe *Legenda*, *Kobza Szwandu*. Rozmaitość ta świetnie daje nam poznać wszechpotęgę talentu Vrchlickiego. Dowodzi nam ona, co już zresztą wyżej wspominaliśmy, że duch znakomitego poety czeskiego zdolny jest zarówno do głębokiej reflexji, jak i do prostego, szczerzego, a głębokiego uczucia. Przykładem pierwszej może być pierwszy w tym dziale wierszyk pod tytułem *Illuzya*; dowodem drugiego — obrazek: *Samotnik*, wyrażający różne uczucia człowieka, co ciężko dotknięty w życiu, zamknął się dobrowolnie w celi pustelniczej.

Ale nie tylko oryginalne poezje uderzają nas tutaj. Naśladowania zawarte w tym dziale świadczą również o potędze geniuszu Vrchlickiego. Dla niego Shakespeare, Byron, Wiktor Hugo, legendy i podania są tylko fundamentem, podstawą, na której samodzielnie, z pomocą własnego uczucia i fantazyi, rozwija on cudną panoramę obrazów, obdarzonych — każdy właściwym mu kolorytem, jakby wyrwanych żywcem z wielkiej księgi życia ludzkości. Dla przykładu przytoczymy legendę średniowieczną pod tytułem: *Giotto i dusza*, zawierającą przytem piękną i głęboką radę poetom i artystom. Wiersz ten, napisany w oryginalnym wierszem białym, w tejsamej formie przekładamy:

Raz w swej pracowni, w wieczór, siedział Giotto,
I na wpół we śnie — grą barw rozmarzony —
Rozmyślał: jakby wymalować duszę.
Tak siedział sam, a noc się posuwała,
I ciche były ulice, w kopułach
I dachach gwiazdy się odzwierciadlały;
A Giotto marzył wciąż i wciąż rozmyślał:
Jakby to można wymalować duszę?
Wtem zdało mu się, że w ciszy leciuchne

Pukanie do drzwi pracowni zabrzmiało,
Tak lekkie, jak gdy palcami stuknie dziecię,
Albo dziewica skromna, której kroki
Ciekawość albo pierwsza miłość wiedzie.
A Giotto okiem swego ducha przeczuł,
Że dusza teraz przychodzi doń sama,
By ją malował — i lekkie pukanie
Znowu zabrzmiało, jak gdy ptaszę dzióbkiem
W zamknięte okna bije wśród zimy...
A Giotto, marząc, uśmiechał się słodko —
Ale pogoda i spokój sru tego
Tak miłe były dla zmysłów i ciała,
Zmożonych w ciągu dnia usilną pracą,
Że nie chciał wstawać, tylko się uśmiechał,
I myślał: przecież jeszcze kiedyś przyjdzie...
I po raz trzeci zabrzmiało pukanie,
A jeszcze słabsze, tak snadź muszka złota
O kwiat powoju jasnym skrzydłem dzwoni.
A Giotto nie wstał, marzył, usnął wreszcie.
Lecz rano uczył próżnię w duszy swojej,
Wspomniał swój pomysł i znowu chciał duszę
Malować — ale, darmo: głowa pusta!
I czekał, czekał długie, długie noce,
I nikt nie pukał, i nikt nie przychodził,
I ciche były ulice, w kopułach
I dachach gwiazdy się odzwierciadlały...
I dobry Giotto umarł z tej tęsknoty.
Ty, który myślisz, marzysz, szukasz piękna,
Wiesz: czemu ci tę baśń opowiedziałem?

I w tym dziele zadość uczynił Vrchlicki krytykom, żądającym od niego zwrotu do tematów ojczyźstych, w wierszu pod tyt.: *Kobza Szwandu*. Jak u nas lud ma swe baśni o Twardowskim, tak też w nawskróś muzykalnym narodzie czeskim, przechowało się podanie o jakimś mytycznym czarodzieju-kobzarzu Szwandzie, który jak zagrał, wszystko musiało tańczyć. Jak zwykle, podanie to jest bardzo niejasne i niepewne. Zkąd się wziął Szwanda — niewiadomo, i nie wiadomo też, gdzie się podział. Zostały po nim tylko jego *dudy* czyli kobza, lecz nikt na nich grać nie umie, i leżą spokojnie w Strakonicach za ołtarzem. Zamilkły *dudy* — powiada lud prosty — znikło też stare szczęście Czech, ale kiedy zabrzmią znowu, wtedy i szczęście powróci. Podanie to oddał Vrchlicki poemistrzowski. Treść, język, sposób wyrażania się, rytm nawet — wszystko jest czysto ludowe. Cały utwór ten jest jakby podsłuchany, jakby wprost wyjęty z ust ludu czeskiego, i kto wie, czy nie stanie się jedną z pieśni ludowych, czy lud nie przyjmie go za swoje dziecię i, zapomniawszy, kto jest jego autorem, nie zacznie śpiewać lub recytować go, na równi ze swymi tradycyjnymi piosnkami?

Smutkiem i boleścią, nadzieją i pociechą owiewa nas naprzemian dział czwarty, poświęcony *zmarłym*. Czytając, zdaje się, że wchodzimy na cmentarz, uderza nas woń ziół rosnących zwykle na mogiłach, jakaś melancholia wkrada się do serca, a na tem mglistem tle błyskają, to pioruny i zwątpienia, to jasne słoneczne promienie miłości, wiary, nadziei. Poezye tu zawarte można podzielić na trzy kategorie: 1) Reflexy, obudzone widokiem śmierci i grobów (*Współczucie, Z biegiem roku, Modlitwa do martwego dziecięcia, Pocięcha, Pieśń wiosenna na grobach*); 2) Ustępy, poświęcone zmarłym przyjaciółom — albo też żywym z powodu śmierci kogoś z ich blizkich (*B. Jelinkowi, Na dzień 19 Września 1874 r., Przyjacielowi Fr. Prokieszowi*), i 3) Smutne epizody z życia, które wywołały wylew głębszego uczucia (*Idylla z cmentarza, Fragment, Smutny wieczór, List z cmentarza*). Podział ten, oczywiście, nie jest ścisły i być nim nie może: i w drugim i w trzecim dziele reflexya ma swoje miejsce, a w pierwszym znowu, na tle głębokich myśli, przebliskują też obficie iskry gorącego uczucia. Rozbierzemy naprzód reflexyjną stronę zawartych tu poezyi.

W wierszu *Z biegiem roku* poeta zastanawia się nad marnością i przelotnością życia ludzkiego:

Czas wszystko rwie i unosi, —
Sęp w locie, tygrys w skoku!
Co dlań pragnienia, co nadzieje?
On wszystko zwieje i rozwieje
W swym rozhukanym toku —
A wszystko z biegiem roku.

Od kolebki do grobu tak się zdaje daleko; nagle przychodzimy ku mogile i nie wiemy, żeśmy u celu — a wszystko z biegiem roku! Dziś w życiu i w duszy własnej, jak w morskich głębinach, widzimy jakieś tajemnice i mroki. Czas robi jeden krok naprzód i wszystko wiemy — z biegiem roku! Rok temu dzwoniło natchnienie w mej pieśni śpiewnych strofach; dzisiaj na skroni pot zimny, wkoło samotność i rozpacz — a wszystko z biegiem roku! Rok temu tuliła się do mnie, pierwsza miłość jaśniała w jej oku; dziś jam kwiat wyschły, pozbawiony rosy — co pocałunki? co przysięgi? wszystko zagasło z biegiem roku! Rok temu, przyjaciół drużyna i matka stała przy mym boku; dziś, zatapiając się w przeszłości, widzi ma dusza tylko mogił więcej — a wszystko z biegiem roku!

Aż przyjdzie czas, o wieczności —
Sęp w locie, tygrys w skoku —
I duch mój, jak kamień omszony,
Co spada ze skalnej korony,
Zniknie w twym niemy toku —
A wszystko z biegiem roku!

Cóż więc jest życie? — „Garsć uschłego kwiecia, śmiech głuchy, który z otchłani pobrzmiwa, — nic — coś”. To też wiele serc, uginających się pod jego brzmieniem, wzdycha: „Na co nam to życie, gdzie każdy krok do nicości wiedzie i do grobu zbliża!” Wobec tego śmierć, w mniemaniu poety, podnosi człowieka; staje się on czemś więcej — aniołem jasnym lub niczem — lecz zawsze czemś lepszym niż człowiek, który życie całe walczyć musi o *imię człowieka*. „Lepiej, zaiste, spać w grobie, niż żyć na świecie; tam cisza, spokój — tu bój bezustanny. A przecież — jak ciężko rozstać się nam z życiem! Czem więcej grobów nosim w głębi duszy, tem więcej czujemy gorzką życia cenę. Czem więcej myśl ma z groby się zaślubia, tem żywiej ręka po kwiat życia sięga; czem częściej łąza urasza mi lice, tem cudniej życie w tej łezce się śmieje, a tajny głos mi szepcze: — Czem więcej mogił i łez, tem więcej jesteś człowiekiem! Tem droższą niech ci będzie krótka droga, którą do grobu przejść masz od kolebki. Miłuj to niebo, gdzie twych drogich dusze błędzą, i ziemię, kędy spią ich ciała... ale żyj i miłuj to swe życie, a ciemność grobu nie będzie ci straszną”. Smutne a zarazem piękne słowa! Smutne, bo nie dla wszystkich dostępne i przyjemne; piękne — bu poetka cudną w nich myśl wyraża, że życie przez cierpienie nabiera ceny; że — jak wyraził się gdzieś indziej: — „jesteśmy królami w myślach, a bogami w tem, cośmy wycierpieli”. Vrchlicki patrzy na wszystko „z wyżyny niebios”; nawet ból i cierpienie, nie jest — według niego — złem dla człowieka, bo uszlachetnia go, oczyszcza i podnosi. Tym też duchem przejęte są wiersze poświęcone zmarłym przyjaciołom poety: — Jelinkowi i Prokieszowi — oraz wstęp zatytułowany: — „Na dzień 19 Września 1874 r.”, a wyrażający współczucie dla dotkniętego ciężką ręką śmierci, w osobie swych najdroższych, przyjaciela poety, J. W. Sladka. Najpiękniejszymi w tym dziele są liryczne wylewy uczucia, połączone z pełnym głębokim smutkiem opowiadaniem o bolesnych epizodach, gdzie śmierć wmieszała chrzest swoich piszczeł w odgłos wesołej pieśni życia. Każdy z tych ustępów inne uczucie wyraża. Weźmy pierwszy: *Idylla z cmentarza*. Wieje z niej jakaś dziwna, zaraźliwa tęsknota; wspomnienia dawne, miłe a smutne, mgłą jasną, lekką, spadają na duszę, odrywają ją od gwaru świata i pogrążają w śnie jakimś smutnym, bolesnym.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 8 Listopada 1883 r.

Otwarcie nowego liceum dla panien w Paryżu. — Jak wyglądała pierwsza szkoła paryzka? — Organizacja wewnętrzna — Dyrektorka. — Honoraria professorek i dozorczyń. — Programmat naukowy. — Przyszłość patentowanych uczennic. — Oplata roczna od wejścia do tego zakładu. — Jak było dawniej? — Droga w świat. — Zameżcie. — Ślub panny Góreckiej, wnuczki Mickiewicza. — Nowe książki. Dramat Macedoński, admirała Jurien de la Gravière. Nowy zeszyt „Historii Rzymskiej” p. Duruya. — Panowanie Juliana Apostaty. „Mizopogon”, dramatyczny utwór tego cesarza. Starożytności paryzkie. — Odkrycie dawnego cyrku Lutecyi.

Na koniec końców — *Facta est lux!* Liceum dla panien, pierwsze w Paryżu, otwarte zostało pod nazwaniem Fanelona, d. 22 Października. Rada miejska, czy wskutek swych radykalnych zasad, czy dlatego, że odebrano jej dyrekcyją nowego zakładu — nie okazała wielkiej uprzejmości i galanterii w wyborze lokalu, na pomieszczenie panienek przeznaczanego. Na starej i najbrudniejszej ulicy starej Lutecyi, na jednej z tych ulic, bez powietrza i słońca, które datują od czasów Św. Ludwika, znaleziono stare i smutne domisko, pod Nr. 45, przy ulicy Saint-André des Arts, i tam zamknięto te kwiaty, w których tajemniczym kielichu złożona jest przyszłość, losy Francyi, według słów apostoła, p. Kamilla Séé.

Domisko to — był to dawniejszy pałac, albo, jak tu nazywają, hotel *Rohanów*. Skonfiskowany i sprzedany zabezpieczen w czasie pierwszej rewolucyi — wynajmowany przez rozmaite osoby, na rozmaite potrzeby, był on czas długi siedliskiem jakiegoś drukarza wydawcy, który długie lata zawałał go stosem papierów, książek i narzędzi drukarskich. Czarne, opleśniałe mury, jedną swą częścią frontową wychodzą na ulicę Św. Anarzeja, drugą, ciemniejszą i smutniejszą jeszcze, wznoszącą się, pomiędzy podwórzem i ogrodem, na uliczkę, zwaną *du Jardinot*. Świeżo pobielone wapnem, ponagrane i posztukowane na przepadłe, stare te mury i rudera wyglądają smutnie, jakby stara zarządzana suknia jedwabna, połatana drellichem!

Blisko trzy lata temu, bo 20 Grudnia 1880 r., Izby postanowiły urządzenie w Paryżu tego zakładu. Te trzy lata upłynęły na korowodach pomiędzy Ministrem Oświecenia i Radą Miejską. Minister, oddajmy mu tę sprawiedliwość, — nie zapisał sprawy; a nim się znalazł ów sławny *modus vivendi* z radą municypalną, przygotowano tymczasem cały zastęp dyrektorek, professorek, dozorczyń, mających zająć odpowiednie posady w nowo-otwartem liceum.

Wszystkie te panie i panny wychodzą z dwóch głównych instytucji francuzkich, to jest: ze szkoły wyższej normalnej w Fontenay-les Roses, będącej pod dyrekcyją pani de Gridberg; i ze szkoły normalnej pomocniczej (*secondaire*) w Sèvres, której dyrektorką jest wdowa po sławnym adwokatcie i mówcy, Juliuszu Favrze. Obie te szkoły są przeznaczone dla kobiet.

Na ostatnim konkursie, otwartym dla otrzymania posady w mającym się otworzyć zakładzie przy ulicy Św. Anarzeja, panna Provost, po świetnie zdanym examinie, otrzymała numer 1-szy i pierwsze miejsce — a następnie mianowana została dyrektorką Liceum Fanelona. Była już ona poprzednio pomocniczką dyrektorki zakładu Panien Legii Honorowej w Ecouen, i w tymże stopniu umieszczona została następnie w zakładzie w Sèvres, przy pani Favre.

Ledziutki portrecik tej pierwszej dyrektorki uczonych Paryżanek nie zawadzi tu wcale. Ma ona dziś blisko, bardzo bliźniutko, lat 30 — jest to więc młoda kobieta, chociaż stara panna!... Brunetka, świeża, nawet ładna, ma uśmiech, w którym nie ma ani śladu cierpkości; poważna i strojna z postaci; ubrana bez pretensyi, ale z prawdziwym smakiem Paryżanek. Naukę chowa w zanadrze, bo ma wiele rozumu. Jednym słowem, wygląda miłe, jest wielce przyjemną i dziwnie jakos sympatyczną.

Ministerium Oświecenia okazało się troskliwym, a nawet niezwykle hojnym, w uposażeniu nauczycielek nowego Zakładu i przyszłych wszystkich instytucji tegoż rodzaju. Pleć piękna nie może się skarżyć; Juliusz Ferry prawdziwie pokawalersku się znalazł z pannami.

Dyrektorki Liceów i Szkół zostały podzielone na dwie klasy, z roczną pensją wynoszącą od 5,000 do 6,500 fr. Dodając do tego uposażenia, stół, usługę i wszelkie potrzeby,—oprócz, ma się rozumieć, ubrania — jest to honorarium, na które każdy kawaler, choćby nawet uczony i trochę żonaty, gotów się zgodzić z ochotą. Professorki zwyczajne (agrégées), zaczynają od 3,000 fr.; dochodzą do 4,200 fr. — i to jest piękny grosz! Wszystkie inne posady są zaopatrzone odpowiednio do tego wymiaru; i tak: panie zajęte korepetycją i doglądaniem uczennic (Répétitrices et maîtresses d'études), biorą od 1,500 do 2,400 fr. Dodać należy, że wszystkie te posady w Paryżu są o 500 fr. opłacane wyżej, niż na prowincyi—ze względu na droższą panującą w stolicy.

Wszystko to jest obmyślane i określone mądrze, ale, czytając programmat wykładanych nauk w tych pomocniczych (secondaires) zakładach dla panien, spostrzegamy ze zdziwieniem, że to są szkoły przygotowawcze, jedynie dla wyczerpania na professorki i na nauczycielki; wszystkie jednakże uczennice, ani mogą, ani potrzebują poświęcać się temu zawodowi—zawodów. Cóż się więc stanie z resztą?... To, co się dzieje we wszystkich szkołach: zwiędłe gruszki spadną na ziemię i staną się pastwą robactwa — powiedział niegdyś Royer-Collard, w odpowiedzi na podobne zapytanie jednego z posłów. Prawda! Ale po cóż wywieszać chorągiew, i ogłaszać *urbi et orbi*, że tu dopiero jest początek mądrości?..

Zobaczmy ten programmat Liceum Fénelona, jak go ogłoszono w dziennikach. Choć to spis jałowy, proszę jednak moich czytelniczek, przeczytać go z wielką uwagą:

„Panny przyjmują się do Liceum (dotąd nie ma jeszcze zupełnego konwikt), od 12 do lat 17. Kursy są podzielone postępowo i tak, aby w ciągu 5-ciu lat mogły być skończone—są one urządzone stosownie do artykułów prawa z d. 21 Grudnia 1880 r., do dekretu i postanowienia Ministra (arrêté) z d. 14 Stycznia 1882 r., i programmatu z d. 28 Lipca tegoż roku.

Nauka obejmuje następujące przedmioty:

- 1) Nauka moralna (o Religii niema mowy);
- 2) Czytanie głośno — Język i literatura francuzka;
- 3) Literatura starożytna i nowożytna — i początki łaciny.
- 4) Historia powszechna, historia francuzka, geografia i kosmografia;
- 5) Języki żyjące (Angielski lub Niemiecki);
- 6) Ekonomia domowa — prawo dla zwykłego użytku (le droit usuel), Hygiena;
- 7) Historia naturalna;
- 8) Fizyka i Chemia;
- 9) Arytmetyka, Geometria i początki Algebry;
- 10) Rysunki;
- 11) Muzyka (Śpiew);
- 12) Gimnastyka;
- 13) Szycie, krój i składanie (assemblage) sukien.

Wszystkie kursy 1-o, 2-o, i 3-letnie, (co stanowi 1-y peryod naukowy), są obowiązujące (obligatoires); pewne zaś części należące do 4-o i 5-letnich (to jest do 2-go peryodu naukowego) są dowolne. Rodzice obowiązani są oświadczyć na początku każdego roku szkolnego: jakie są przedmioty, na które ich dzieci nie mają uczęszczać.

Kursy pomocniczych zakładów powierzone są, albo damom agregowanym, t. j.: kwalifikowanym na professorstwo; albo nauczycielom *wybrany* wśród *najbiegłęjszych* profesorów Fakultetów i Liceów paryzkich męzkich.

Pensyonarki, które przy końcu nauk otrzymują patenty, mogą, albo stawać do konkursu, dla otrzymania wstępu do szkoły normalnej w Sévres, albo żądać miejsca korepetytorek (maîtresses répétitrices) w liceum lub szkołach panien.

Ceny kosztów externatu, lub połowicznej pensyi, t. j.: ze śniadaniem w zakładzie, są następujące:

- Dla klas poczynających:
- Externat 150 fr.—externat z doglądem ¹⁾ 250 fr.; z połowiczną pensją 550 fr.
- W klasach wyższych: (Instruction secondaire).
- W Pierwszym Peryodzie:
- Externat 200 fr.; externat z doglądem, 300 fr. z połowiczną pensją 625 fr.
- W Drugim Peryodzie:
- Externat 250 fr.; externat z doglądem 350 fr. z połowiczną pensją 700 fr.

Takim jest zakład i takie są jego „warunki.“ Powiadają, że zapisanych dotąd uczennic jest 200—jak na Paryż, to liczba za mała—będzie więcej—i będzie lepiej, tak zapowiadają.—Czekajmy! i sądzmy z owoców o drzewie.

Z tych, co pokończyły nauki w innych, mniej formalnych i opatrzonych mniej sznurem programmatami, pensjach—znamy wiele rozumnych, zacnych i dobrych kobiet; tym zwykle udzielano patentów: na dobre żony, na przykładne matki. I było dobrze. Znałem takie, co bez wahania się, złożyły życie, gdy było potrzeba... Jak postąpią w danej chwili uczone professorki—nie wiem.

Oto jedna z tych dawnych wychowania, poprzedzając o dwa dni solenne otwarcie nowej szkoły, t. j.: 20 Października—poszła tą starą, ubitą drogą, która prowadzi przez kościół do domowego ogniska i na kolejne zamiast akademickich laurów, rosną wonniejsze pomarańcze i mirty! Tym dezertorem była piękna, dobra a rozumna, panna Helena Górecka (*Genus Vatum*) dziś już pani Józefowa Modlińska. Jest to nasza kość z kości. Wnuczka Adama Mickiewicza! Do ślubu prowadził ją sędziwy Bohdan Zaleski i z uśmiechem przypominał weselej gromadzie, że to już z trzeciego pokolenia Pannie Młodej podaje rękę do ślubu. Prawda to szczerą: prowadził jedną po drugiej, Babkę, Matkę i Wnuczkę!... a stary Bojan, zawsze jeszcze rzeźko i silnie się trzyma — i da Bóg, będzie jeszcze prowadził prawnuczkę.

Ze szkoły i z wesela,—wracam do moich literackich studiów. Prace ludzi specjalnych, a szczególnie ludzi wojskowych i marynarzy, we względzie pewnych historycznych kwestyi, są rzeczą pożądaną, i niezmiernie ważną. A jeżeli zdarzy się przytem, że taki człowiek specjalny jest zarazem biegłym w swoim zawodzie i znakomitym pisarzem, wówczas przychodzi się prawie do zupełnej doskonałości. Tak się właśnie stało w przedmiocie historii Alexandra Macedońskiego.

Admirał francuzki p. Jurien de la Gravière, znany jako jeden ze znakomych pisarzy w dziełach poświęconych wyłącznie historii marynarki francuzkiej — dał dowód, jak ważne usługi może oddać piśmiennictwu człowiek, co równie umie się posłużyć mieczem i piórem — *ense et calamo!*

Jemu też zawdzięczamy ciekawą i nauczającą książkę, pod tytułem: *Dramat Macedoński* (Le Drame Macédonien). Jest to szereg wyborczych studiów geograficznych i historycznych, dotyczących się zadziwiającej wyprawy na wschód Alexandra Macedońskiego. Wyprawa ta, która uniesmiertelniła imię greckiego królika, przesiadła niejako do Azji inny zupełnie świat wyobrażeń i dążeń, wśród tego olbrzymiego Wschodu, gdzie ten aryjski ferment miał wywołać niesłychane wypadki, zmiany i zjawiska; a następnie rozplynać się i zniknąć,

1) Dogląd znaczy odprowadzanie dzieci do domu.

w tym tajemniczym oceanie,—początków i końca ludzkości!

Czem był ów polityczny i wojenny dramat, który Alexander rozwinął przed oczami zadziwionego świata? Kim był ów bohater macedoński? autor nam pokazuje w jasnych i czystych zarysach wielkiego historycznego obrazu. Styl admirała, pełen jedności i miary, zaprawny jest oryginalnością, której bujność i siła, budzi umysł i zmusza uwagę czytelnika do pilniejszego podążania za myślą pisarza.

Widzieliśmy już nieraz poważnych wielce arystarchów literackich, usiłujących przekonać świat cały, że ten królik z Bałkańskiego Półwyspu był to pewien rodzaj waryata, awanturnika i bandyty; szkoła takzwanych demokratycznych historyków, odznaczyła się szczególnie w tym względzie; nazywa się to: mówić całą prawdę! Otóż z panem Jurien de la Gravière, wracamy do dawnych świetnych tradycyji Aryana i Kwinta Kuryusza — i łatwo się zgadzamy na to, iż tyle piękna, zapału, siły i szlachetności zasługuje na większą pobłażliwość ostrych Zoilów i na głębszą uwagę poważnych historyków.

Alexander był prawie zawsze wielkim. Rozumiał on doskonale niebezpieczeństwo i ciężkie warunki swojej wyprawy i tak rozległych podbojów; ale, jak później Cyceron, mógł on odpowiedzieć na te zarzuty: „Non mea me traxit voluntas, sed meae vitae rationes“ dodając: „rationes vitae et patriae“ ¹⁾. Był on niekiedy gwałtownym a nawet okrutnym—ale to w wyjątkowych okolicznościach życia, jakby w przystępach szadu, usprawiedliwiającego się przez młodość i obce zupełnie jego naturze warunki, w które go rzuciły nadzwyczajne wypadki.

P. Jurien de la Gravière od samego początku wyprawy idzie krok w krok za swym bohaterem, oznaczając starannie, z największą ścisłością, jego śmiało zadziwiające pochody. W tej wojowniczej podróży, wśród owego starożytnego świata Państw Wschodnich autor daje nam szczegółowe opisy miejsc, wstawionych wielkimi wojennymi wypadkami tej wyprawy. Łatwo przychodzi zrozumieć wówczas, czytając te ciekawe, topograficzne opisy uczonego autora, przyczyny, a często i nieuniknione następstwa i wypadki stoczonych walk, na tej rozległej scenie jak sam ogrom owego świata, podbitego na czele garstki walecznych towarzyszy bojów.

Piękne i biegle wykonane mapy — pełne nowych i ważnych wskazówek, dołączone są do tej książki. Jest to jedna jeszcze zasługa i zaleta tego dzieła. Autor pokazał nam jasno, że erudycja i znajomości specjalne zawodowe, nie zagłuszyły w nim bynajmniej tego praktycznego zmysłu sumiennego badacza, i tego wdziękstylisty, z którym się znamy oddawna. Książka p. Jurien de la Gravière, jest niezbędnym komentarzem do dzieł Alexandra Wielkiego i każdy, ktokolwiek się dotknie do tego przedmiotu, będzie obowiązany, dobrze się obeznać z tym przewodnikiem niezbędnym.

1) „Pociągnęła mnie do tego, nie wola moja, ale rozumna konieczność życia—żyć a i ojezyzn“.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 9-ty powieści pod tyt.: *Książęce gniazdo*.

TREŚĆ. Nad głębinami, (poezya), przez El-y. — W kwestyi pracy kobiet, przez R. Plenkiewicza. — Henryk Schmitt (Wspomnienie), (dokończenie), przez Maryana Dubieckiego. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Krol Jan III Sobieski i jego rodzina, (dokończenie), przez Maryana Dubieckiego. — Piosnka jesienna, (poezya). — Jarosław Vrchlicki, (dalszy ciąg), przez Zenona Przesmyckiego. — Nowiny paryzkie.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1883 года.